

Propozycja drastycznego skrócenia czasu pracy jest albo prowokacją, albo myśleniem życzeniowym. Pracujemy sporo, co nie oznacza, że możemy sobie pozwolić na obniżkę pensji, wielkie braki kadrowe, wzrost inflacji i ucieczkę kapitału za granicę.

Wielki Dzień Modlitwy to luteriańskie święto, ustanowione w Danii pod koniec XVII w. W 2023 r. rząd socjaldemokratów doszedł do wniosku, że w związku z agresją Rosji na Ukrainę musi ono zniknąć z kalendarza. Premier Mette Frederiksen przekonywała, że dodatkowy dzień pracy zwiększy produktywność gospodarki i pomoże sfinansować rosnące wydatki na obronność. A parlament się z nią zgodził. Zniesienie święta ma przynosić budżetowi ok. 0,5 mld USD rocznie. Dania zapewnia obywatelom 11 dni wolnych od pracy i ma najwyższy wiek emerytalny w Europie – obecnie wynosi on 67 lat dla obu płci, ale w 2035 r. wzrośnie do 68 lat, a w 2040 r. do 70 lat. Kraj ten zajmuje 14. miejsce na świecie pod względem zamożności mierzonej PKB per capita, tuż za Stanami Zjednoczonymi, z wynikiem blisko 72 tys. dol. W Polsce, która plasuje się na 50. miejscu w rankingu zamożności z 45 tys. dol. i zapewnia pracownikom 14 dni wolnych, debatę publiczną rozgrzewa propozycja wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy. Czyż nie tkwi w niej jakiś specyficzny dla nas duch autodestrukcji? **Zamiast myśleć o zwiększaniu naszego dobrobytu, a tym samym bezpieczeństwa, rozpoczynamy populistyczną dyskusję o podcinaniu sobie ekonomicznych żył.** Oczywiście mamy problem z długimi godzinami pracy, ale to nie oznacza, że możemy sobie pozwolić na utratę ok. 20 proc. naszej konkurencyjności, malejące tempo wzrostu gospodarczego, obniżkę pensji, gigantyczne braki kadrowe, rosnącą inflację i wyprowadzkę kapitału do sąsiadujących z nami krajów.

3,5 mln pracowników zatrudnię

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej chwali się, że w tym miesiącu do pilotażu skróconego czasu pracy przystąpiło blisko 2 tys. firm. Za udział w programie mogą otrzymać do 1 mln zł. Łącznie pilotaż ma kosztować 50 mln zł w latach 2025-2027. I chyba tu tkwi sedno zainteresowania firm i entuzjazm resortu. Ministerstwo oferuje pieniądze na pokrycie luki kosztowej, która powstanie po obcięciu godzin pracy. Ktoś po prostu musi zapłacić za to rachunek. Wdrożenie takiego rozwiązania w obecnych warunkach na szeroką skalę byłoby dla naszej zamożności druzgocące. Prześledźmy jego potencjalne skutki. Jeśli firmy mają wyprodukować tę samą ilość dóbr i usług z załogą pracującą o 20 proc. mniej, to muszą znaleźć dodatkowych pracowników. Pierwszym namacalnym tego skutkiem

będzie wzrost ich kosztów o ok. 25 proc. W efekcie fundusz wynagrodzeń w firmach eksploduje. Jaki będzie tego efekt? Po pierwsze bankructwa, bo nie da się z dnia na dzień udźwignąć takiego kosztu. Po drugie firmy, które będą się starały przetrwać, podniosą ceny dóbr i usług. Po trzecie nastąpi zamrożenie wynagrodzeń wszystkich pracowników. **Może więc będziemy pracować krócej, ale w sklepach zapłacimy więcej, a o podwyżkach można zapomnieć na lata. To oznacza realne zubożenie zatrudnionych.** Wróci też wysoka inflacja. Firmy będą musiały jakoś zrekompensować sobie wydatki na fundusz płac. Nikt przecież nie funkcjonuje z marżą na poziomie 30 proc., żeby z dnia na dzień móc przetrwać podwyżkę kosztów wytwarzania o 25 proc. Może to również wypchnąć naszych eksporterów z zagranicznych rynków. To nie koniec. **Z „genialnego” rozwiązania resortu ogromnie się ucieszą nasi sąsiedzi, konkurujący z nami o zagraniczne inwestycje.** Czesi, Węgrzy, Słowacy, Rumuni zapewne z całego serca kibicują pani minister Agnieszce Dziemianowicz-Bąk. Jeśli gospodarka straci 20-25 proc. konkurencyjności, to inwestorzy będą przenosić swoje zakłady gdzie indziej, reinwestować zyski w sąsiednich krajach oraz lokować tam nowe inwestycje. Kolejnym wyzwaniem będzie znalezienie na rynku dodatkowych pracowników. W naszej gospodarce pracuje obecnie 17,2 mln osób, z czego blisko 14 mln jest zatrudnionych „u kogoś”. Co to oznacza? **W Polsce, która ma jeden z najniższych wskaźników bezrobocia na świecie i boryka się z niedoborami kadrowymi, trzeba będzie znaleźć ok. 3,5 mln ludzi do pracy.** Pyszna perspektywa. Warto przywołać w tym kontekście analizę Instytutu Badań Strukturalnych na temat skrócenia czasu pracy. Wnioski jej autorów są jednoznaczne: *„Wzrost wydajności kompensujący skrócenie czasu pracy do czterech dni w tygodniu jest nierealny do osiągnięcia w większości branż i zawodów”. „Wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy pogłębiłoby już występujące niedobory pracowników”. „Skrócenie czasu pracy do czterech dni w tygodniu uniemożliwiłoby dostarczenie wysokiej jakości usług publicznych”. „Czterodniowy tydzień pracy oznaczałoby, że liczba nieobsadzonych wakatów w policji wzrosłaby do ok. 43 tys.”. „Wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy byłoby decyzją zdecydowanie przedwczesną. Prowadziłoby do spadku dochodów Polaków i poważnych problemów państwa z dostarczaniem usług publicznych”.*

Skrócony czas pracy to nie rozwiązanie

Taka diagnoza propozycji resortu rodziny nie oznacza, że nie powinniśmy rozmawiać

o czasie pracy Polaków. Rzeczywiście pracujemy sporo – z jednej strony pozwala nam to doganiać bogatsze kraje, ale z drugiej może burzyć balans między życiem zawodowym a rodzinnym (czego efektem są m. in. niskie wskaźniki dzietności, o czym piszemy z Michałem Kotem w naszej nowej książce „Jak uniknąć demograficznej katastrofy”), powodować wypalenie zawodowe, zmniejszać efektywność pracy i zwiększać frustrację pracowników. Według danych Eurostatu mężczyźni pracują u nas średnio 41,5 godziny tygodniowo, a średnia dla państw Unii Europejskiej wynosi 39,6 godziny. Większe różnice dotyczą kobiet. W Polsce dobijają one do 39 godzin, a w całej UE – 34,3 godziny. **Dłuższy czas pracy Polek i Polaków wynika z dwóch podstawowych aspektów. Po pierwsze bardzo rzadko pracujemy na część etatu.** Dotyczy to zwłaszcza kobiet – zaledwie 6,3 proc. z nich jest zatrudniona w niepełnym wymiarze. Średnia dla całej Unii jest ponad czterokrotnie wyższa i wynosi 27,5 proc. Na część etatu pracuje zaledwie 8 proc. Polek w wieku rozrodczym (25-49 lat). U rekordzistek – Holenderek, Szwajcarek i Austriaczek – odsetek ten sięga 50-60 proc. To rodzi problemy w łączeniu obowiązków rodzinnych i zawodowych, a także winduje całociowy czas pracy. **Po drugie dużą część pracujących w Polsce stanowią samozatrudnieni.** Takie osoby także zawyżają czas pracy. **Wysoka liczba przepracowanych godzin nie jest jednak spowodowana różnicą w czasie pracy wśród etatowców.** A to ich głównie dotyczy propozycja ministerstwa. Czas pracy pracowników zatrudnionych w pełnym wymiarze jest u nas zaledwie o 0,7 godziny dłuższy niż średnia unijna, a krótszy niż np. w Austrii, Portugalii, Słowenii czy Szwecji. Można zatem powiedzieć, że propozycja Ministerstwa Rodziny trafia kulą w płot. Jej skutki byłyby dotkliwe dla gospodarki. Co więcej, pomysł resortu nie odnosi się do problemu długich godzin aktywności.

Bogactwo bierze się z pracy

Choć ekonomiści używają skomplikowanej terminologii do opisu wzrostu gospodarczego i budowania dobrobytu, to podstawowe mechanizmy są stosunkowo proste. **PKB, czyli nasz rozwój, jest równy sumie zasobów siły roboczej i produktywności.** Co to oznacza? Tak naprawdę liczą się dwie rzeczy: liczba pracujących/wymiar czasu pracy oraz sposób wykorzystania ich wysiłku. Im praca jest efektywniejsza, tym lepiej dla gospodarki. A także dla samych pracowników, bo nie muszą pracować tak ciężko, by wytworzyć ten sam efekt końcowy. Podsumowując: dobrobyt, bogactwo i siła ekonomiczna państwa biorą się z pracy. Możemy debatować o work-life balance, harowaniu ponad miarę, poziomie płac czy

wydajności – zwłaszcza gdy dalej będziemy doganiać zamożniejszych od nas. Nie ma też nic zdrożnego w tym, żeby w wielu branżach – zwłaszcza pracy biurowej – zachęcać pracodawców do skracania czasu pracy, sprzyjania łączeniu życia prywatnego i służbowego czy lepszemu wykorzystywaniu potencjału załogi. Ale skakanie do pustego basenu z hasłem „będziecie pracować 20 proc. mniej, a zarabiać tyle samo co dotychczas” jest albo prowokacją, albo taną autoreklamą na granicy populizmu, albo myśleniem życzeniowym.

Tekst pierwotnie ukazał się w Magazynie DGP: [Bieda na własne życzenie – GazetaPrawna.pl](#)